



MARIA KONOPNICKA

Jeszcze jeden numer

MARIA KONOPNICKA

II. Jeszcze jeden numer

— A to? — zapytałam, kiedyśmy doszli do końca więziennego korytarza, gdzie w głębi widać było drzwi na klucz zamknięte.

— To — odrzekł, zakolysawszy się lekko, nadzorca — to jest jeszcze jeden numer.

Rozmowa miała miejsce za pierwszej bytności mojej w więzieniu, kiedyś jeszcze nie wiedziałam, że się tu o nic pytać nie należy.

Co zobaczysz, usłyszysz, zauważysz, w powietrzu chwycisz — to twoje, ale daremnie byś pytał o cokolwiek. Nie dlatego, żeby ci kto w odpowiedzi miał pozostać dłużny. Broń Boże. Ale da ci taką odpowiedź, że z niej nic wycisnąć nie potrafisz.

Mury tu za to mówią, zwierzają się ściany, w długich korytarzach słychać szept stłumiony. Kto za tym głosem iść może, dochodzi czasem bardzo ciekawych rzeczy.

Nie znaczy to bynajmniej, aby z ludźmi tutejszymi mówić nie było warto. Owszem. Ale w rozmowie takiej trzeba uważać baczenie na dwie rzeczy. Na to, czego ci nie mówią, i na to, o czym za dużo mówią. Gadatliwość bowiem służy tu często ku tym samym celom, co i milczenie, a kancelaryjna władza jest jak gdyby obliczona na zatarcie jakichś cichych głosów, o których nie wiedzieć, czy są słowem czy westchnieniem. Toteż przy zwiedzaniu więzienia szczególniej złudzeń słuchowych wystrzegać się należy.

To, co tu jest do zobaczenia, krótkowidz dojrzeć może, ale tylko subtelne ucho dosłyszyci to, co dosłyszec trzeba.

Najważniejszą ku temu przeszkodą jest uprzejmość samego zarządu. Gdy wejdiesz, a raczej, gdy się przekonają, że wejścia twego uniknąć niepodobna, stajesz się natychmiast przedmiotem niesłychanej, ojcowskiej niemal pieczołowitości i prawdziwie rycerskich względów. Sam „wielmożny” wybiega do przedsiönka cię witać, sam cię do kancelarii wprowadza, sadowi, uśmiecha się, zaciera dłonie i zapewnia, że jest z przybycia twego najszczęśliwszy. We wszystkim tym, co mówi, znać pewne roztargnienie. Przewraca papiery, szuka kluczy od biurka, skinieniem ręki odprawia strażnika, zaledwie stanął we drzwiach i usta otworzył, przy czym oczy jego odbywają szybki, sumaryczny przegląd kancelarii. Zapytuje się wreszcie, czy całe więzienie chcesz zwiedzić. Odpowiadasz skromnie, że zastosujesz się do woli i czasu pana nadzorcy. W tej chwili oczy jego uspokajają się nieco, wolniej oddycha; głos ma równiejszy, ruchy nie tak nerwowe.

Naturalnie, któż by się trudził zwiedzaniem wszystkiego! On sam ci pokaże, co jest najciekawsze. Wyda tylko pewne dyspozycje. Od chwili gdy zaczął mówić, słyszysz ociężałe kroki w korytarzu. Odgłos ten irytuje „wielmożnego” widocznie. Marszczy czoło, uśmiechając się do ciebie, i rzuca w stronę korytarza skośne, urwane spojrzenia, mówiąc głośniejszy, niż tego wymaga potrzeba. Wybiega wreszcie, nie przerywając rozmowy aż do chwili naciśnięcia klamki, przy czym śmieje się krótkim, przymuszonym śmiechem.

Na progu ogląda się jeszcze. Znać, że rad by się rozdzielić: i tu zostać, i tam być koniecznie. Wychodzi nareszcie, a ty zostajesz sam.

Jeśli jesteś nowicjuszem w obserwacji, przyglądasz się wielkim księgom, rozłożonym na zielonym suknie długiego stołu, szafom zapełnionym papierami, plikom aktów po kątach rzuconych i wspaniałemu przyciskowi, który leży na najwidoczniejszym miejscu. Zatrzymujesz wreszcie wzrok na czarnym krucyfiksie i Chrystusie z kości słoniowej i jakies błogie ciepło napelnia ci piersi.

Jeżeli zaś nowicjuszem nie jesteś lub jeśli oczy twoje instynktem widzą, gdzie w takich biurach iść i czego szukać, to przede wszystkim patrzysz na wytartą i jakby wyżłobioną licznymi stopami podłogę w progu, na szczupłe oszalowanie, tworzące nieopodal

Więzienie, Więzień, Obraz świata, Kondycja ludzka

Więzienie, Władza, Fałsz

Książka

od wejścia rodzaj wół przyćmionego i ciasnego kojca, gdzie się dają „widzenia”, wreszcie spoglądasz na pokryte grubą warstwą kurzu książki, które leżą kupkami na oknie, widocznie rzadko bardzo poruszane.

W tej chwili wraca „wielmożny”. Jednym rzutem oka obejmuje sytuację i kierunek twego spojrzenia.

— Ach, to? — mówi, uśmiechając się skromnie. — To biblioteczka nasza... Początek, zaród biblioteczki... Zniszczone to, bo ciągle w ruchu — dodaje, biorąc w rękę tomik, z którego się sypie kurz i wręcz słowom jego zaprzecza.

Zbliżasz się, przyglądasz, wreszcie, chcąc mieć wyobrażenie o całości, zapytujesz, jak też w tej chwili książki są w czytaniu. Okazuje się, że w tej chwili, właściwie mówiąc, żadnych książek w czytaniu nie ma. Cały „zaród” na oknie leży pod warstwą pyłu. Dowiadujesz się przy tym, że te „szelmy” strasznie wszystko niszczą i że gdyby im tylko książki dać do ręki, to „oho!”.

Dowiadujesz się także, że z więźniami w żadne rozmowy wdawać się nie warto, bo wszyscy klamią; że on sam, „wielmożny”, cudów tu dokazał, że go aresztanci jak ojca kochają, że wydatki są ogromne, że roboty ręczne postępują wzorowo, że wreszcie, co do moralności więźniów, to się tu nic zrobić nie da, bo to zatwardziały dusze, z którymi czego on sam nie zrobił, tego już nikt nie zrobi!

Ale może byś chciał najpierw zobaczyć ogródek? Nie? Wolisz gmach oglądać? Naturalnie, każdy ma swój gust. Chociaż ogródek jest ciekawy, bardzo ciekawy. W inspektach¹ są już nawet rzodkiewki. A gdy to „wielmożny” mówi, oczy jego biegają po twojej twarzy z niezmierną szybkością. Gdyby mógł, przebiłby się na wylot spojrzeniem. Wchodzi wreszcie strażnik i w milczeniu staje w progu. „Wielmożny” rzuca na niego wzrok pytający. Strażnik skłania głowę. W tej chwili pan nadzorca zaczyna rozmowę o pogodzie, wypowiedziawszy kilka zupełnie uzasadnionych poglądów na jej stan obecny, i nagle przerywa sobie od niechcenia pytaniem, czy zyczysz już zacząć swoje oględziny. Pytanie to postawione jest z mistrzowską obojętnością.

Naturalnie okazujesz zupełną gotowość. Strażnik drzwi otwiera, wychodzisz, a za tobą wychodzi „wielmożny”.

Okazałbyś się pełnym gburem, gdybyś nie pochwalił czystości schodów i korytarzy w tej samej chwili, w której uderzy cię na nich woń stęchła i o mdłości przyprawić mogąca. Nie skłamięsz. Podłogi są istotnie czyste.

Na schodach spotkasz więźnia, czolgającego się na czworakach ze skorupą w rękę, którą skrobie stopnie.

Zobaczywszy „wielmożnego”, więzień zrywa się, opuszcza ręce, staje pod ścianą, przylepiając się do niej, spłaszcza, maleje, w mur wsiąka niemal.

Nie przychodzi mu to z trudnością. Jego ogolona głowa, twarz szara i siwy kubrak odbijają od muru ledwo słabym tonem. Wyżej spotkasz dwóch jeszcze. Niosą oni dość duży ceber², przez którego uszy przechodzi drązek. Ta sama mdła woń, silniejsza tylko, bucha na ciebie z cebra. To obiad. Stajesz wreszcie na górnym korytarzu w oddziale, przypuścimy, kobiecym. Tu strażnik zatrzymuje się i, wysunąwszy wielki klucz, spogląda na „wielmożnego”. „Wielmożny” macha ręką na znak, że mu wszystko jedno. Po czym każe otwierać nr 9. Wchodzisz wzruszony, coś ściska cię w gardle, coś ci mgłą oczy zasłania. W pierwszej chwili nie czujesz nawet charakterystycznej mdłej woni, która tu jeszcze się wzmaga. Aresztantki otaczają „wielmożnego”, całując go w ręce. Starsze wytaczają przed nim różne sprawy, młodsze uśmiechają się, mizdrzą, nastawiają, stroją dziwaczne miny. „Wielmożny” klepie je po ramieniu, grozi im palcem na nosie, zapytuje to o tę, to o ową. Wywołane po imieniu, wychodzą z kątów; kilka z nich ma głowę głęboko spuszczoną.

Tymczasem zjawiają się inne, spod dalszych numerów, które strażnik otworzył także. Te są śmielsze jeszcze. Na ciebie patrzą z ciekawością, szyderczą niemal, i trącają się łokciami. Wreszcie czynią to samo wszystkie inne, pchają się, pociągając nosami i wdychając głośno. Jeśli której zapytasz o co, odpowiada za nią sam „wielmożny”, który też z właściwym sobie pięknym, okrągłym gestem przedstawia ci niektóre „bardzo porządne aresztantki” tudzież tłumaczy urządzenia izby, widoczne zresztą i bez tych objaśnień.

¹inspekt — płytka skrzynia, oszklona z góry, służąca do uprawy roślin. [przypis edytorski]

²ceber (daw.) — duże, okrągłe naczynie, zrobione z klepek. [przypis edytorski]

Więzień

Więzień, Kondycja ludzka,
Pozycja społeczna

Więzień, Kobieta, Władza,
Kondycja ludzka, Pozycja
społeczna

— Ot, tu mają okno — mówi na przykład — tu piec, tam tapczany...

Kierując twoją uwagę, mówi bardzo głośno i bardzo obficie.

Gdy wzrok zatrzyma się dłużej na jakiej twarzy lub na jakim kącie, „wielmożny” niepokoi się natychmiast, mruga oczyma, podchodzi i pokazuje ci szydełkową robotę, wyjętą z ręki jednej z aresztantek. Jest przy tym psychologiem.

— To nic ciekawego — szepce, krzywiąc wzgardliwie usta, skoro dojrzy żywszy błysk w twoim spojrzeniu — zwyczajna złodziejka!... Niewiele nawet skradła, nie oplaciło jej się...

Macha ręką i uśmiecha się gorzko. Po dziesięciu minutach spogląda ku drzwiom. Ma już tego dosyć. Ale nie byłby sobą, gdyby pominął tak wyborną sposobność do budującego przemówienia.

Podnosi tedy głowę, podaje pierś naprzód i, zatrudniwszy białe palce pięknej swej ręki brelokami:

— No — mówi — bądźcie zdrowe! Widzicie oto, że są osoby litościwe, które was odwiedzają, które chcą widzieć, co robicie, jak się sprawujecie. Dla takich osób powinnyście czuć wdzięczność.

Tu przerywa mu głębokie, z kilkudziesięciu piersi jednym przeciągłym jękiem idące, westchnienie, bardzo zresztą podobne do tego „a!!!”, które w kościółkach wiejskich słychać podczas podniesienia³. Aresztantki rzucają się do ciebie, całują twoje ręce, twoje suknie, twoje nogi.

—...wdzięczność — kończy „wielmożny” — którą najlepiej możecie okazać przez dobre sprawowanie się. No jakże? Będziecie się dobrze sprawowały?

Powtórnie, głośniejsze jeszcze, „a!!!” napelnia izbę, przy czym aresztantki rzucają się do „wielmożnego”, całując jego ręce, poły jego surduta⁴, jego buty, jego kolana i — audyencja skończona. Ta sama ceremonia odbywa się jeszcze pod dwoma lub trzema numerami, po czym idziesz oglądać lazaret⁵, przez który przeprowadzają cię z niezmierną szybkością do warsztatów, gdzie z progu rzuca się okiem na szewców i krawców, do kuchni, gdzie „wielmożny” bierze od kucharza warząchew i proponuje ci skosztowanie porcji dla chorych — zdrowi już jedli, wreszcie wychodzisz do ogródka, w którym wolno ci zabawić dłużej nieco, gdzie dostajesz parę kwiatków albo próbujesz, obraną uprzejmie przez pana nadzorcę, rzodkiewkę i skąd powracasz do kancelarii.

Tu „wielmożny” okazuje ci żywe zainteresowanie się twoim zmęczeniem. Proponuje ci tedy z całą uprzejmością, że jeśli zechcesz jeszcze kiedy ponowić swoje odwiedziny — przeczują, niestety, że możesz to zrobić! — to on nie będzie już cię trudził chodzeniem po schodach, tylko tu do kancelarii każe sprowadzić parę z „ciekawszych” aresztantek, a ty będziesz mógł z nimi pogadać i „wplnąć na nie”.

Spodziewam się, iż masz tyle sprytu, że nie odrzucasz wręcz tej propozycji.

Już się do odejścia zabierasz, kiedy pan nadzorca, który na chwilę był wybiegł, powraca i prosi cię na wszystko, abyś do mieszkania jego wstąpić raczył, abyś nie gardził... Wymawiasz się zrazu, potem idziesz. Na wstępie spotykasz stół nakryty do śniadania. Obok kredensu aresztant z podrosłymi nieco włosami i w cywilnym ubraniu przeciera talerze. Z głębokiego półmiska kurzą się flaki, obok piwo i wino. Na próżno się upierasz, na próżno zapewniasz, żeś niegłodny. Pan nadzorca sam ci na talerz nakłada, a napelnwszy kieliszki, pije twoje zdrowie.

Po śniadaniu prowadzi cię do salonu. Tu przede wszystkim dane ci jest podziwiać stoliczek, zrobiony na imieniny przez więźniów, na stolyczku bukiet z chleba tejsze fabryki, pod stoliczkiem laurka w ramkach, za szkłem, a na niej powinszowanie od aresztantek, zaczynające się słowami: „Jako to słońce, co świeci na niebie...”. Na drugiej ścianie druga laurka przeszłoroczna, nad fortepianem trzecia. „Wielmożny” ma całą galerię tych interesujących pamiątek. Oglądasz ich pięć, sześć, dziesięć, ale nie możesz obejrzeć wszystkich.

Zegnasz się wreszcie, gospodarz ściska twoje ręce, wyprowadza cię do sieni, do schodków do powozu, którego drzwiczki sam zamyka za tobą.

Jeśli w drodze konie cię nie poniosą i karku nie skręcisz, znaczy to, że nie wszystkie, choćby też najszczęsze, życzenia ludzkie Opatrzność spełnić pospiesza.

³podniesienie — część mszy, następująca po konsekracji. [przypis edytorski]

⁴surdut — długa, dwurzędowa marynarka, noszona dawniej przez mężczyzn. [przypis edytorski]

⁵lazaret — szpital wojskowy lub więzienny. [przypis edytorski]

Więzień, Kobieta, Władza,
Więzienie

Jedzenie

Ironia

Łatwo pojąć, że choćbyś zrobił sto podobnych wizyt, pożytek z nich będzie taki własnie, jak gdybyś na ulicy, przed więziennym gmachem stanąwszy, murom się jego przyglądał.

Na szczęście masz więcej cierpliwości niżli pan nadzorca, a także więcej czasu.

Długo wszakże trzyma się to w mierze.

Za drugiej, za trzeciej bytności twojej taka sama scena w kancelarii, tak samo „wielmożny” prowadzi cię na schody i pod numery, takie same miewa z powodu przyjścia twojego kazania i tak samo zaprasza cię na flaki.

Aż zdarzy się wreszcie, że go odwołują na drugi koniec korytarza, gdzie się pierzarki⁶ pobiły, a ty zostajesz sam na pięć, na dziesięć minut. Innym znów razem zatrzymuje się „wielmożny” lub wybiega dla rozprawy z dostawcą grochu i sadła. Jeszcze innym wypadają właśnie „widzenia”. Co w takich razach jest najpocieszniejsze, to usilne przeprosiny jego, że cię musi „na chwilkę samego zostawić”. Tak, na chwilkę tylko. Ale byłbyś bardzo niezręczny, gdybyś z chwilek takich skorzystać nie potrafił.

Drogą, na której tu wszystko zrobić można, jest droga powściągliwości i umiarkowania. Przede wszystkim nie należy niczym i nigdy wzbudzać nieufności w strażniku. Zostałeś sam, ale ani głos twój, ani spojrzenie, ani ruch nie powinny być na jotę inne niż przy panu nadzorcy. Po wtóre nie należy strażnikowi nigdy ofiarować żadnych datków. On powinien wiedzieć, że masz prawo tu przychodzić i że otwieranie ci numerów nie zależy wcale od jego grzeczności i łaski, którą byś potrzebował opłacać. Jedynym gruntem, na którym tu silnie stanąć można, jest grunt najściślejszej legalności. Żadnych szeptów, żadnych intryg, żadnych konszachtów! Tym tylko sposobem dojść możesz do tego, że pan nadzorca przestanie za tobą biegać, a strażnik, spostrzegłszy cię, pochyli głowę siwą i pójdzie wprost na schody otwierać ci numery.

Skoroś to zdobył, wygraleś.

Najpilniejszą teraz sprawą będzie wyrównanie tego sztucznie wzniesionego poziomu, na jakim stosunek twój do więźniów postawiły przemowy pana nadzorcy.

Wchodzisz tedy cicho, spokojnie, jakby do miejsca wspólnego pobytu. Zdejmujesz, kapelusz, rękawiczki, a pozdrowiwszy aresztantki, siadasz pomiędzy nimi na ławce, nie pozwalając, aby przerywały swoje zajęcia, i zaczynasz z nimi najpotoczniejszą rozmowę. W rozmowie tej unikasz jak ognia wszelkich ogólników moralizatorskich, wszelkich wzdychań na temat zepsucia, obrazy boskiej, śmiertelnych i powszednich grzechów. Nigdy też nie wypytujesz, ale zwracasz się do której z młodszych kobiet, dowiadujesz się, jaką robotę wykonywa najwprawniej, oglądasz wyplatanie krzesel, szycie, haft, dzierganie, przychylając się do robotnicy i nie odbierając jej roboty z ręki, przez co okazujesz szacunek dla jej czasu. Przy tej sposobności pytasz o imię, nigdy zaś o nazwisko, które i tak ci sama aresztantka powie, pytasz o wiek, o rodziców, o rodzeństwo; wyrażasz przy tym skromnie domysł, że pewno tęsknią do niej, przez co podnosisz ją we własnych oczach, czyniąc komuś drogą, słowem, zachowujesz się z aresztantką w taki właśnie sposób, jak gdybyś zgoła nie w więzieniu ją poznał, ale w domu lub w warsztacie.

Nie zwracasz nigdy uwagi na rzeczy wstydzące młodą dziewczynę, jak np. obcięcie włosów i brzydki czepiec więzienny. Przy zadzierzgiwaniu tych pierwszych, tak subtelnych, a tak silnych węzłów wzajemnej ufności pomijasz prawie zupełnie chwilę obecną, zajmując się przeważnie przeszłością aresztantki i jej nadziejami na przyszłość, które musisz zatlić tam, gdzie ich nie ma, a podtrzymywać i kierować nimi tam, gdzie się chwieją i gasną.

Nie posługujesz się nigdy w tej pierwszej chwili takimi pytaniami i odpowiedziami, które by zarówno do niej, jak i do dziesięciu innych stosować się mogły; mówiąc z nią, o jej tylko los się troskasz, nią tylko jesteś zajęty, jej tylko oddany. Z szarej, bezbarwnej masy ogólnego przestępstwa i ogólnej kary wydobywasz zainteresowaniem się swoim indywidualność ludzką. A to jest twoim najwyższym zadaniem. Na usługi swoje musisz mieć wyborną pamięć, wielką delikatność uczuć i łatwość stawiania się w różnorodnych psychicznych stanach.

Zwykle w numerze znajduje się małe dziecko. Czasem bywa tego po dwoje, po troje.

⁶pierzarka (daw.) — kobieta zajmująca się darcie pierza. [przypis edytorski]

Bierzesz je od matki na ręce, dajesz mu jakiś przyniesiony ze sobą kawałek bułki, trzymasz je na kolanach lub kołyszysz, jeśli jest sennie. Matka, która nieraz przeklinała jego istnienie, uśmiecha się, widząc to, i jest wzruszona. Jeśli dziecko było tym razem brudne i zaniedbane, niech cię to nie zraża. Za drugą bytnością twoją znajdziesz je z pewnością wymyte i w czystej koszulce.

Poruszasz się, mówisz i czynisz to wszystko z zupełnym spokojem. Owszem, głos twój jest raczej cichy niż donośny. Ci, co się zrazu skupiają dookoła, aby cię słyszeć, garną się później do ciebie, aby cię słuchać!

Innym razem zapytujesz aresztantek, ile ich jest ze wsi. Bywa ich zwykle połowa w każdym numerze. Pytasz tedy o okolice, o nazwy wiosek, o byt gospodarzy, o warunki dawnego życia. Korzystasz przy tym z bieżącej pory roku, aby mówić o siewach, o grabieniu siana, o żniwach, o kopaniu kartofli, o obróbce lnu, o tkaniu i bieleniu płótna, o pieśniach, śpiewanych przy wspólnej pracy na polu i w chacie. Jeśli to jest niedziela, mówisz o kościele wiejskim, o dzwonach, co zwołują na Anioł Pański⁷, o suplikacjach⁸, które lud cały śpiewa, o krzyżu przydrożnym, który dziewczęta ubierają w kwiaty, o święceniu ziół, o pasterce, o rezurekcji⁹...

Zrazu każda aresztantka ma coś do powiedzenia. Wkrótce wszakże głosy milkną, a po kątach słychać szlochanie i wycieranie nosów w grube więzienne fartuchy. Zapytujesz wtedy, czyby one nie chciały — ponieważ tam właśnie wszyscy się modlą — odmówić z tobą pacierza?

Zamiast odpowiedzi większa część klęka, wzdycha i bije się w piersi. Nie zwracasz uwagi na te, które stoją, i odmawiasz głośno, z wolna *Ojcie nasz*¹⁰, *Kto się w opiekę*¹¹ albo *Święty Boże*¹². Gdy skończysz, spostrzegasz, że klęczą wszystkie prócz Żydówek, a i na tych znać powagę chwili.

Wzajemnych skarg, plotek, opowiadań o cudzych przestępstwach nie dopuszczasz nigdy. Nigdy też, nawet w najpoufniejszej rozmowie, nie dopytujesz się o rodzaj i stopień winy. Twoim tryumfem będzie dowiedzieć się o tym od płaczącej u kolan twoich lub na piersiach twoich aresztantki, a to w takiej rozciągłości i z takimi szczegółami, jakich żadne śledztwo dobyć by z niej nie zdołało nigdy.

Gdy się to stanie, możesz iść na flaki, pić zdrowie i oglądać laurki „wielmożnego”. Zrobiłeś swoje.

Z miesiąc coś może po owej pierwszej mojej bytności w więzieniu znów mi wypadło przechodzić przez korytarz, w którego głębi był... „jeszcze jeden numer”. Stary Jakub, idący tym razem przede mną, zatrzymał się nieco, obejrzał, zażył tabaki i, zmrużywszy lewe oko, jak to miał w zwyczaju, zapytał znienacka:

— A widziała też pani „Dziką”?

— Nie, nie widziałam — odrzekłam spokojnie. — A cóż to za „Dzika”?

— A lichy ją wie, proszę łaski pani. Dzika i Dzika. Tak tu na nią wołają.

— Cóż to, aresztantka?

— Iii — odrzekł Jakub, machnąwszy ręką — taka niby dokumentna aresztantka to ona nie jest. Ale że ją tu trzymają wedle papierów.

Poruszył się i szedł dalej, to drepcąc parę kroków, to przystając i biorąc tabakę.

Naraz odwrócił się znowu.

— Bo to, proszę łaski pani — mówił, zniżywszy głos nieco — jak była ta wojna, niby turecka¹³, to insze panowie oficerzy nawieźli różności z tamtych tam krajów. Psy nie psy, konie nie konie, fuzje¹⁴ nie fuzje, Murzyny nie Murzyny, aż jeden sobie i pannę przywiózł. Od rodziców ją, powiadali, namówił czy coś. Tak mieszkał on tu z tą panną w mieście jakiejś czasy, aż potem musiał z wojskiem na trawę ciągnąć, na wieś. A już mu

Modlitwa

Obcy, Kobieta, Więzień

⁷Anioł Pański — katolicka modlitwa maryjna. [przypis edytorski]

⁸suplikacja — katolicka pieśń błagalna. [przypis edytorski]

⁹rezurekcja — uroczyste nabożeństwo wielkanocne, połączone z procesją. [przypis edytorski]

¹⁰Ojcie nasz a. *Modlitwa Pańska* — najstarsza modlitwa chrześcijańska. [przypis edytorski]

¹¹*Kto się w opiekę* — polska pieśń religijna, autorstwa Jana Kochanowskiego (1530–1584), będąca poetyckim przekładem Psalmu 91. [przypis edytorski]

¹²Święty Boże a. *Trisagion* — hymn pochwalny na cześć Trójcy Świętej. [przypis edytorski]

¹³wojna turecka — prawdopodobnie chodzi o wojnę rosyjsko-turecką (1877–1878) pomiędzy Imperium Rosyjskim a Imperium Osmańskim; *Obrazki więzienne* zostały opublikowane w 1897 r. [przypis edytorski]

¹⁴fuzja (daw.) — tu: długolufowa ręczna broń palna z zapalnikiem skałkowym. [przypis edytorski]

się ta panna uprzykrzyła. Jak mu się też uprzykrzyła, tak on, co robiący, do wójta na onej wsi melduje tak a tak, co tu się taka a taka znajduje bez papierów. Ano dobrze. Jak on ją do wójta melduje, tak wójt ją łapać. Pobił ją tam on wójt, poturbował, bo się nie dała brać i strasznie do oczów skakała, aż ją tu do nas przywieźli. Jak ją do nas przywieźli, tak my ją zamknęli pod czternasty... Tam, gdzie Walera, proszę łaski pani.

— Wiem, wiem.

— Jak my ją pod czternasty zamknęli, tak jej się zara w głowie zaczęło psuć, że ino ciągle chodziła, rękami wymachiwała i cości gadała a gadała, ale po jakimu, to nikt nie mógł wiedzieć. Bez to my ją i Dzika przewzali, że to i takiej czerniawej urody była przy tym... To znów jak na nią przypadło, to się ciągiem śmiała. „Cha, cha, cha! Cha, cha, cha!” Aż się, bywało, tak zmorduje, że się o ziemię jak drewno ciście i targa, że aż się człowiekowi coś dzieje słuchając. A włosy, proszę pani, to ma takie, że choć z nich bicze kręć na cztery konie... To jak ona tak się śmieje i płacze, to jedna i druga do niej z pięścią... A nie będziesz cicho, ty taka, ty owaka! Buch raz w kark, buch ją drugi raz. Ano dobrze! To taki nieraz, proszę łaski pani, wrzask był w korytarzu, że zwyciężyć nie było można... Aż też ją „wielmożny” tu przesadził i tak tera siedzi.

— Tu, pod tym numerem.

— A tu... Tera ją *fotografowali*, co jej *fotografiją* mają posyłać do tamtych krajów, co by się kto do niej przyznał, rodzice albo kto... Bo to młode, z osiemnaście lat temu, nie więcej.

— I wy tam do niej chodzicie?

— A chodzę. Co nie mam chodzić? Ino że się z nią nijakiego rozmówienia nie ma. Jak tam nieraz człowiek wejdzie, a odezwie się ot tak, po dobroci, to się namarszczy, aż jej się te brwie zejda..

W tej chwili doszliśmy do drzwi. Jakub klucz przekręcił w zamku i puścił mnie przed sobą.

Izdebka była niewielka, o jednym zakratowanym oknie, bielona jak wszystkie numery. Pod oknem stał czarny stolik, na nim cynowa miseczka więzienna z nietkniętym jeszcze krupnikiem. Pod ścianą, na lewo od wejścia, tapczan taki, jakie tu w lazarecie są w użyciu. Na tapczanie, twarzą do ściany, leżała na wypchanej słomą poduszce; małe nóżki w podartych, niegdyś wykwintnych trzewiczkach widać było spod jasnej, lekkiej sukni, której wesole barwy dziwnie odbijały od tego dnia zimowego, od brunatnej więziennej kołdry.

Chociaż drzwi skrzypnęły dość głośno, Dzika nie poruszyła się z miejsca, tylko, dłonią twarz zasłoniwszy, głębiej się w poduszkę wcisnęła.

Dopiero kiedy Jakub do stolika podszedł i zapytał, czemu obiadu nie je, uniosła się nieco na łokciach i odwróciwszy głowę, palającymi oczyma na niego spojrzała. Oryginalnie piękna była jej twarz śniada i niezmiernie wynędzniała, ale szlachetnie skrojona. *Brwie* — jak mówił Jakub — silnie ściągnięte, schodziły się niemal czarną, wąską linią, usta jej drgały.

Chwilę patrzyła tak na strażnika z wielką jakąś wzdargą, mrużąc ogniste oczy, aż zdławionym, hamowanym widocznie głosem wyrzuciła z piersi kilka gniewnych i szorstko brzmiących wyrazów w nieznanym mi języku...

Nagle wzrok jej padł na mnie i odbił ogromne zdumienie. Powolnym, jakby zawstydzonym ruchem odgarnęła z twarzy włosy, spuściła nogi, poprawiła suknię i podniosła się, nie zdejmując ze mnie coraz głębszym cieniem zachodzących oczu. Postać jej była gibka, szczupła i składna.

Patrzyłam na nią z niezmiernym współczuciem. Co do Jakuba, ten wyniósł się dyskretnie i drzwi za sobą przymknął.

— *Au nom de Dieu, Madame!*¹⁵ — wyszeptala wtedy Dzika, przyciskając do piersi obie ręce kurczowym jakimś ruchem — *au nom de Dieu*.

Chciałam coś mówić, ale nagle drzeć zaczęła, przymknęła oczy i, szukając ręką oparcia, padła w tył na tapczan, uderzyła w ścianę głową i zanosła się wielkim płaczem...

— *De Dieu... de Dieu... de Dieu...* — lkała, nie mogąc wymówić nic więcej. A tuż zaraz chwycił ją spazmatyczny i niepowstrzymany śmiech, przy którym te powracające

¹⁵*Au nom de Dieu, Madame!* (fr.) — W imię Boga, Pani! [przypis edytorski]

na usta jej wyrazy miały jakieś okropne, tragiczne znaczenie. Trwało to może kwadrans, a może i dłużej, w którym to czasie na próżno usiłowałam uspokoić Dziką. Rozpięłam jej stanik i, zmaczawszy chustkę w dzbanku, położyłam ją na drgającym sercu biednej dziewczyny. Siadłam potem przy niej, objęłam ją i przycisnęłam głowę jej do piersi. Po śmiechu przyszło łkanie, rozdzierające zrazu i rozpaczliwe, potem coraz cichsze, coraz cichsze, aż się rozpląnęło w westchnienia. Zmrok zapadł już zupełnie, kiedy Dzika głęboko zasnęła.

Wtedy jej głowę złożyłam na poduszce, otuliłam ją kołdrą i wyszłam cicho na palcach. Nie opodal ode drzwi stał Jakub. Spojrzał na mnie, pokiwał głową, zmrużył lewe oko i zażył niuch tabaki.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/konopnicka-jeszcze-jeden-numer>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, *Obrazki więzienne*, wyd. Arcanus, Bydgoszcz 1990.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: *Żarnowiec* : Marya Konopnicka na werandzie., autor nieznan, domena publiczna

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do [Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur](#) i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).